

Niezniszczalne polskie banki?

Finanse i bankowość | Artykuły / Maciej Samcik - "Subiektywnie o finansach"

Banki zarobiły w zeszłym roku prawie 14 mld zł. Nie zaszkodził im podatek bankowy, fundusz wsparcia dla kredytobiorców ani składki na upadające SKOK-i oraz SK Bank. Ani nawet rekordowo niskie stopy procentowe. Jak to możliwe?

TREŚĆ ARTYKUŁU:

Banki zarobiły w zeszłym roku prawie 14 mld zł. Nie zaszkodził im podatek bankowy, fundusz wsparcia dla kredytobiorców ani składki na upadające SKOK-i oraz SK Bank. Ani nawet rekordowo niskie stopy procentowe. Jak to możliwe?



Scenariusz przed każdymi zmianami regulacyjnymi, które mają uderzyć w sektor bankowy, jest zwykle taki sam: bankowcy ostrzegają, że zmiany uderzą w ich zyski oraz że częściowo odczują je klienci (przez wzrost cen usług bądź odcięcie od kredytów części klientów), zaś regulatorzy i rząd powtarzają, że banki są i pozostaną silne. Nie inaczej było w zeszłym roku, gdy wprowadzano podatek bankowy i to w jego najostrożniejszej ze znanych na świecie form - czyli jako "podatek od kredytów".

I co? Banki przetrwały podatek, choć zapłaciły go mniej więcej o połowę mniej, niż pierwotnie zakładał rząd (ok. 3,5 mld zł). "Przetrwały" to mało powiedziane. One pod rządami tego podatku wręcz rozkwitły, osiągając prawie 14 mld zł czystego zysku. Takie pieniądze branża bankowa zarabiała w najlepszych czasach - gdy stopy procentowe były wysokie, a wymogi kapitałowe nie tak wyśrubowane. Jak to wszystko tłumaczyć? Ja tłumaczyłbym trzema czynnikami: naturą bankowego biznesu, zbiegiem okoliczności i... naszą, konsumentów, słabością. A dokładniej? Już tłumaczę.

1. Natura bankowego biznesu. Banki nie mają własnych pieniędzy (albo raczej: mają ich relatywnie mało wobec skali interesów, które prowadzą). W tym gronie nie muszą tłumaczyć z czego to wynika: banki to handlarze cudzymi pieniędzmi, a własnego kapitału mają tylko tyle, żeby poradzić sobie w wymogami nadzorczymi. Jeśli więc rosną obciążenia lub koszty prowadzenia biznesu, to w znacznej mierze przerzuca się je na klientów w taki sposób, by rentowność działalności nie ucierpiała. Akcjonariusze muszą dostać te swoje "duże" kilka (lub "małe" kilkanaście) procent ROE, bo inaczej nie byłiby akcjonariuszami banku, tylko poszliby pomnażać swoje pieniądze gdzieś indziej.

Paradoksalnie w Polsce "przywiązanie" akcjonariuszy do banków jest jeszcze większe niż gdzie indziej. O ile na Zachodzie niezadowolony z rentowności banku inwestor strategiczny może "rzucić papierami" i sprzedać bank, o tyle u nas nie jest to takie łatwe m.in. ze względu na portfele kredytów walutowych. Czynnikiem one większość banków "niesprzedawalnymi", bądź możliwymi do sprzedaży tylko za grosze (takie, jakie dostał za Bank BPH amerykański inwestor strategiczny GE - wartość transakcji była mniejsza od kwoty zakupu banku przez wieloma laty, choć od tego czasu BPH wyrósł i zmężniał). Inwestorom pozostaje więc dojenie klientów.

Jak to dojenie wygląda? Prześledziłem to na przykładzie podatku bankowego.

Z danych NBP wynika, że osoby prywatne powierzyły bankom 660 mld zł. Część z tych pieniędzy i tak nie jest oprocentowana (leżą na ROR-ach). Ale 291 mld zł to klientowskie depozyty terminowe, których oprocentowanie w ciągu roku spadło o 0,3-0,4 pkt. proc., by banki mogły zwiększyć marżę odsetkową, poprawić zyski i mieć z czego zapłacić podatek bankowy. Policzmy: 0,3 pkt. proc. liczone od prawie 300 mld zł... to miliard. Kolejne 100 mld zł mamy na kontach oszczędnościowych. Obniżka odsetek o 0,4 pkt. proc. - a taka była skala w większości banków - oznacza o 400 mln zł więcej w kasach banków.

Deponenci "zapłacili" w niższym oprocentowaniu depozytów 1,4 mld zł podatku bankowego. W górę poszły też marże kredytów hipotecznych (co przełożyło się na raty wyższe o 200-300 mln zł) oraz prowizje przy sprzedaży kredytów konsumpcyjnych (tu bardzo trudno wyszacować dodatkowe zyski banków, bo ten kapitał bardzo szybko rotuje i ta sama złotówka kredytu może być w ciągu roku "użyta" nawet kilkakrotnie).

2. Zbieg okoliczności. Tak się składa, że w roku, w którym na banki spadły wszystkie możliwe plagi - niskie stopy, prokonsumenckie ustawy, zakazy wypłacania dywidendy, kolejne warianty pomocy dla frankowiczów, liczba składki i wymogi kapitałowe - bankowcom spadła manna z nieba. Aż 1,5 mld zł otrzymali w ramach jednorazowego "zastrzyku" od amerykańskiej Visy za sprzedaż udziałów w Visa Europe, likwidowanej przez Amerykanów europejskiej dywizji.

Gdy w normalnej sytuacji konieczność zapłacenia 3,5 mld zł podatku ekstra (poza podatkiem dochodowym) oznaczałoby wyparowanie jednej trzeciej-jednej czwartej zysków, to w zeszłym roku banki praktycznie tego obciążenia nie odczuły! A nie odczuły, bo wyjęły 2 mln zł z kieszeni swoich klientów, zaś pozostały 1,5 mld zł - z kieszeni amerykańskiego kartowego giganta - Visy. To się nazywa mieć w życiu szczęście. O tym, co oznacza brak szczęścia, przekonują się bankowcy w pierwszych miesiącach tego roku, w których ich zyski są o 20-25 proc. mniejsze niż rok wcześniej.

3. Nieogarnięcie polskich konsumentów. Bankowcom pomaga też trzeci czynnik - fakt, iż ich klienci w stosunkowo niewielkim stopniu kierują się zasadą "głosowania nogami". W doskonale efektywnej gospodarce rynkowej obniżanie oprocentowania depozytów, podwyżki marż kredytowych i inn tego typu ruchy powinny być w dużej części mitygowane przez ruch klientów z banków najdroższych do najtańszych. A to z kolei spowodowałoby większą chęć banków, by obniżać własne zyski (przynajmniej do poziomu akceptowalnego przez akcjonariuszy) oraz nie tracić klientów na rzecz konkurencji.

W Polsce to tak nie działa. Spójrzmy na PKO BP, największy polski bank, obsługujący ponad 7 mln klientów. Na odsetkach, mimo najniższych w historii stóp procentowych, PKO BP zarobił w 2016 r. ponad 700 mln zł więcej niż w poprzednim roku - aż 7,7 mld zł. Z jednej strony był w stanie zwiększyć dochody z zainkasowanych od klientów rat kredytowych - co oznacza, że pozyskał nowych klientów, a mimo rosnącej konkurencji w szybkich pożyczkach był w stanie przekonać ich, by płacili za kredyty jeszcze więcej. Z drugiej strony PKO BP drastycznie ściął oprocentowanie depozytów, bowiem wypłacił klientom aż o 430 mln zł mniej niż rok temu.

Statystyczny posiadacz oszczędności w PKO BP dostał w zeszłym roku odsetki ścięte o jedną czwartą. Bank podliczył, że średnio płaci posiadaczowi rocznego depozytu 0,8% w skali roku. Dwa lata temu płacił 1,4%, choć w tym czasie cena pieniądza na rynku międzybankowym i stopy procentowe prawie się nie zmieniły.

Marża odsetkowa w PKO BP – czyli z grubsza różnica między ceną pieniądza pozyskiwanego od klientów a zyskiem netto z kredytów (po odliczeniu tych nie trafionych) wynosi dziś w PKO BP jakieś 3,2% i jest nawet wyższa od zeszłorocznej. Cztery lata temu, w skrajnie lepszych warunkach działania, bank miał 3,7% marży. Mimo takiej polityki do PKO BP płynęły wciąż nowe pieniądze – przez rok wartość depozytów klientów zwiększyła się w największym polskim banku o 9,3 mld zł (do 205 mld zł, o 5%). A w segmencie detalicznym – aż o 9%! Owszem, na całym rynku wzrost depozytów był podobny (też średnio o ponad 9%), ale biorąc pod uwagę, że większość banków – zwłaszcza tych średnich – oferowała depozyty oprocentowane znacznie wyżej niż PKO BP, można powiedzieć, że klienci nie zachowali się racjonalnie i pozwolili bankowi na znacznie większe ruchy, niż byłoby to w sytuacji, gdyby klienci skutecznie "głosowali nogami".

To przykład dotyczący konkretnego banku, ale sytuacja we wszystkich – na większą lub mniejszą skalę – była podobna. Skoro pogorszenie oprocentowania depozytów i podwyżka marż kredytowych nie wpływa na nasze zachowania, to nie ma co się dziwić, że banki zachowują genialną wręcz – jak na te warunki – rentowność? Choć przynajmniej na małą skalę racjonalność klientów widać na rynku kredytów hipotecznych. Tam po podwyżce marż zanotowano niewielki spadek udzielonych kredytów i rekordowy wzrost zakupów mieszkań za gotówkę. No, ale kupujący nieruchomości to stosunkowo zamożna, można powiedzieć, że elitarna grupa konsumentów. Oni zagłosowali nogami i być może dzięki temu w obecnym roku doczekamy się spadku marż kredytów hipotecznych, które wyraźnie przekraczają już 2,3 proc.

--

Maciej Samcik – pisze dla „Gazety Wyborczej”, jest autorem bloga „Subiektywnie o finansach”.